Rok 1938 20 lutego Nr 8

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO"



W czasie pobytu w Krakowie Głowy państwa węgierskiego, admirała Horthy'ego, dzieci krakowskie w strojach ludowych, witały dostojnych Gości wierszykami. Widzimy je na dworcu kolejowym. — Na fotografii uśmiecha się do nich Gość węgierski, przy którym na prawo stoi Pan Prezydent Rzeczypospolitej prof. Mościcki, a na lewo Wódz Naczelny polskiej armii Marszałek Śmigły-Rydz.

Obrazek z Polesia

Niewielu z nas może się pochwalić tym, że zna swój kraj. Wielka to szkoda i krzywda, bo wszak bracia jesteśmy wszyscy, dzieci jednej Matki - Polski i znać się powinniśmy nawzajem. Nauczylibyśmy się wtedy szanować się wzajemnie i mielibyśmy inne pojęcie o własnym kraju, niż mają ci wszyscy, co tyle widzą, ile pozwala im ich własne podwórko. Rozszerzyłyby się nam serca i myśli, gdybyśmy tak mogli objąć nimi Polskę całą od krańca do krańca. Każda jej dzielnica — to jakby całość sama w sobie, tyle posiada odrębnych zwyczajów, obyczajów, narzeczy, śpiewów, tańców i kolorów w swych ludowych strojach; każda inne zawiera w sobie uroki przyrody, a przecież wszystkie razem jednoczy nurt polskiej krwi, ton polskiej mowy, ten nieuchwytny czar, jaki posiada dla swoich dzieci ziemia rodzinna, ziemia ojczysta.

Jedną z najmniej znanych stron Polski — to Polesie. Przedziwny kraj, nad którym panowanie roztoczyła woda. Od wieków stanowiło ono jakby naturalną strażnicę, która nie pozwalała tak łatwo wtargnąć w głąb kraju najeźdźcom od Wschodu. Niemało musiało ugrzęznąć hord tatarskich w bło-

tach i bagnach Polesia, zanim w swych licznych zapędach nie nauczyli się skośnoocy Azjaci omijać zdradne topiele. A przecież i tam żyje lud i nie rad byłby, gdyby mu kazano opuścić swoje nadwodne gniazda.

Raz po raz dochodzą wieści, że wielka na Polesiu rozpocznie się praca, że Polska z tej krainy bagnisk wieczystych, chce zrobić kraj urodzajny, bogaty i zdrowy. Na razie jednak niewiele się tam zmieniło, i co kto z wędrówki po onym smętnym zakątku przyjedzie, maluje słowem i farbą podobne do siebie obrazki. Niewesołe one, bo przeziera z nich bieda, ciemnota, zaniedbanie, ale w Bogu miejmy nadzieję, że nam pozwoli odrobić to, czego nie zrobiły długie lata historii.

Oto jeden z takich obrazków poleskich malowanych zimą przez Polaka, co się wybrał z samej stolicy, by się na własne oczy przekonać, jak tam jest naprawdę.

Wóz trzęsie niemiłosiernie, skacząc po wyboistych koleinach. — Czemu nie skręcić, bokiem dobra droga — odzywa się do woźnicy. — Hetak lipsz, panoczku, ne treba dumaty.

Ano, trudno, kiedy tak lepiej niż byłoby inaczej, a w dodatku nawet myśleć nie należy o tym, to nic nie pozostaje innego, jak dalej pozwalać się wytrzęsać wozowi. Poleszuk swojego przekonania nie zmieni, a myślenie zostawia widocznie koniowi, który skoro ciągnie, musi wiedzieć dlaczego tędy a nie tamtędy.

Okolica jednostajna, kraj niski, równinny bez żadnych wyniosłości; na tle horyzontu czernieją poszarpane ściany lasów. Łąki pokryte lodem, gdzieniegdzie jakieś jakby wyspy, a na nich rzędy chat. To wieś poleska. Są też i inne wioski, złożone z kilkudziesięciu tak zwanych „futorów“ porozrzucanych na większej przestrzeni, bez drogi, bez planu, gdzie i jak kto chciał, czy mógł.

(Dokończenie nastąpi).

Ojcze, ochrzcij mnie!

Tak brzmiała nieustanna prośba jednego z wychowanków misji w Afryce. Ojcze, ochrzcij mnie — powtarzał mały Murzynek przy każdej sposobności, pragnąc gorąco należeć już do dzieci Bożych. Ale, mimo, że umiał na pamięć katechizm, że sprawował się doskonale i modlił się serdecznie, misjonarz nie śpieszył się ze spełnieniem jego prośby, wiedząc z doświadczenia, że w tej sprawie trzeba być bardzo ostrożnym.

Chłopiec wpadł na pomysł. — Ojcze, przecież mogę umrzeć nagle w nocy, a wtedy... dobranoc, pójdę chyba do piekła... I to jednak nic nie pomogło.

Raz, gdy był w kąpieli, olbrzymi krokodyl wynurzył się nagle tuż obok niego, tak, że Murzynek ledwie zdołał wyskoczyć z wody. Ochłonąwszy ze strachu, pobiegł natychmiast do misji. — Ojcze, nawet kąpać się nie mogę, bo jak mnie złapie krokodyl, zginę z duszą i z ciałem! Kiedy indziej spadła na niego duża deska, lecz na szczęście lekko tylko skaleczyła. Skorzystał natychmiast z wypadku, by znowu powtórzyć misjonarzowi swą prośbę: — Ojcze, ze wszystkich stron grożą mi niebezpieczeństwa, ochrzcij mnie już.

To wytrwałe pragnienie zostania wyznawcą Chrystusowym doprowadziło go wreszcie do chrzcielnicy, z której woda święcona wraz z sakramentalnymi słowami kapłana oczyściła go z grzechu pierworodnego, przemieniając w członka mistycznego Ciała Jezusowego, jakim jest Kościół katolicki.

Jakże często poganie służyć by mogli chrześcijanom za wzór gorliwości w sprawach zbawienia!

ROZWIĄZANIE ZAGADEK Z NRU 7-go:

Szarada: ka, kawa, kawaler, ja, Jawa, jaka — kawalerja.

Zagadka: 1 z, 2 mak, 3 kepka, 4 zapusty, 5 kto, 6 y — zapusty.

Właścicielami biletów są: kupiec, komisarz.



W Afryce lekarze europejscy wiele mają kłopotu z leczeniem chorej ludności, a już najtrudniej im jest radzić sobie z dziećmi, którym trzeba przypisać lekarstwo. Otóż wpadli oni na pomysł wypisywania recept na piersiach małych pacjentów, przez co znika obawa zagubienia ich, a doktorowi ujmuje potrzebę ponownego badania chorego. Na rycinie widzimy właśnie jak dziatwa murzyńska przygotowała się do tej ważnej czynności. Dziwić nas jednak musi, dlaczego te czarne dzieciaki mają tak strasznie wzdęte brzuszki, kiedy przecież nie karmią się tam — jak to bywa niestety u nas po wsiach — samymi kartoflami. A może one tylko tak się wyprostowały mocno, aby lekarzom wygodniej było pisać po ich skórze...

Przeczucie u psów

Dużo pisał swego czasu „Dzwoneczek" o słynnych psach z góry św. Bernarda w Alpach, które współpracują tam z zakonnikami w odszukiwaniu zaginionych wśród mrozów i śniegów podróżnych.

Jak nadzwyczajnym instynktem obdarzyła natura te poczciwe zwierzęta, dowodzi wypadek, jaki zaszedł tam niedawno. Miano właśnie iść z psami na codzienny obchód w poszukiwaniu potrzebujących pomocy, ale niespodziewanie psy w żaden sposób nie chciały opuścić schroniska. Zdarzyło się to po raz pierwszy, to też zakonnicy, znający obowiązkowość swoich czworonożnych przyjaciół, nie mogli wyjść z zadziwienia; rozumieli jednak, że nie należy przemocą przełamywać oporu posłusznych zwykle psów. Po upływie niedługiego czasu zwaliła się z gór potworna lawina, która byłaby całą wyprawę ludzi i zwierząt przyprawiła o śmiertelną zgubę, gdyby nie był ostrzegł przed nią instynkt psów. Jak była olbrzymia i ciężka, dowodzi to, że zniszczyła znacznie schronisko, wtłaczając się poprzez zgniecione drzwi i okna do wnętrza. W ogóle zwały śniegu zablokowały budynki tak, że przez kilka miesięcy trudne będzie dla zakonników opuszczanie klasztoru.

Podobnego zdarzenia nie zanotowały dotychczas kroniki tego starodawnego schroniska w Alpach.

SZARADA

Pierwsze każda płaksa krzyczy,
gdy ją tylko co zaboli,
bo miast mężnie się pokazać —
ona łzy i jęki woli.
Drugie zwykle przy pytaniu
miejsce swoje wnet zajmuje,
takie sobie słówko małe,
nikt się też nim nie przejmuje.
Za to kraju swego dzieje
każdy Polak dobrze trzecie,
bo ta całość — to największe
dobro jego jest na świecie.

Patrol Lwów

Powieść harcerska. Napisał Kazimierz Kalinowski. — (Ciąg dalszy)

Tobie, coś mogła teraz, — jak panna Ludka, — schylać się w słoneczny ranek nad rabaty w ogródku... we własnym dworku, cichym a jasnym, czystym a wesołym, wśród puszcz litewskich przepastnej krainy, za wielkim wałem „pniów, kłód, korzeni, obronnym trzęsawicą, tysiącem strumieni i siecią zielsk zarosłych i kopcami mrowisk...“ Ach, mogłaś i nie możesz, biedaczko, miałaś dwór, wieś, a musisz w warszawskiej kamienicy, z oknem na podwórko jak studnia zatęchła, odnajmować „celę więzienną“ pod nazwą „pokoju umeblowanego“. Dwa kroki wszerz, trzy wzdłuż, lecz dalej już — ni rusz!

W tej samej chwili właśnie trębacz Lwów znalazł się w położeniu, z którego również nie można było ruszyć już dalej ani na krok, musiał więc zeskoczyć ze stalowego konia, został bowiem osaczony ze wszystkich stron jeżącymi się ku niemu świerkami.

— A to dopiero skaut z ciebie, Bolku — mruknął do siebie prawie głośno. — Rozmyślasz nad tym, jakby to wyrwać tęskniącą za wsią Donkę z murów więziennych miasta, porównujesz czyje włosy piękniejsze, siostry Antosia Orzelskiego, czy twojej; w ogóle masz czas na powtarzanie Mickiewiczowskich wierszy, na wszystko, tylko nie na to, co ci polecił przełożony... Ładniebym wyglądał, gdyby mnie tu w tej chwili zobaczył Leszek.

Oparł maszynę o drzewo, i wyciągając mapę z kieszeni, jął się rozglądać.

— Doprawdy, taki mnie wstyd ogarnia, że chyba nie wytrzymam, tylko wieczorem wszystko sam wyznam, nawet nie Zawiszy na ucho, lecz przed druhami publicznie. Przecież to przestępstwo nie lada... Bolku trębaczu, co się tobie stało? To tak skaut wędruje po lesie? Skaut, któremu nie wolno zrobić dziesięciu kroków i nie wiedzieć, którędy szedł lub jechał, co w drodze mijał i dokąd ona go wiodła... No, powiedz, dokąd ciebie zawiodła ta dróżka? Co? — Od panny Ludki Orzelskiej na Podlasiu do panny Donki Barskiej w Warszawie.

Rozejrzał się znowu i nic już nie rozumiał gdzie się znajduje. Jechał śladem kół wozów ciągnących drzewo z głębi lasu w stronę gościńca... Gdzie się dróżka podziała?... Wszak powinien był z łatwością dostać się nią do dobrej drogi jezdnej, wyraźnie na mapie oznaczonej. Tymczasem otacza go gromada młodych świerków u stóp paru staruszków, co zamiatają kłującymi brodami dachy olbrzymich mrowisk i drwią sobie teraz z junaka z trąbką na piersiach.

— Zachciało się paniczowi na dwu kółkach wałęsać tędy, gdzie nikt na dwu nogach nie chadza; tu przecież tylko dziki tarzają się w kałuży.

Istotnie, Bolek nie widział tu dokoła siebie śladów stopy ludzkiej, a za to zauważył w błocie wyraźny odcisk ogromnej, o potężnym ryju, dzikiej świni, która musiała nawet niedawno leżeć w przysychającej między choiną kałuży.

— Może tu w tej gęstwinie pod osłoną dużych gałęzi świerkowych kryje się legowisko jakiej „samury“, która zaniepokojona moim zbliżeniem się w ten zaciszny zakamarek, wypadnie z „barłogu“ na mnie w obronie tuzina swoich „warchlaków“. A może przerwałem sen jakiemu potężnemu „odyńcowi“, z którym nie mniej przyjemne może być spotkanie. W ładnych znalazłbym się opałach. „Idziesz na misia — szykuj łoże; na dzika się wybierasz — gotuj mary“. Jego ryj uzbrojony aż w dwie „szable“, a w rynsztunku lwiego trębacza nie znajdzie nawet migawkowego aparatu, któryby, groźną acz ponętną dla myśliwego „czarną zwierzynę“ przeniósł do wieczności, choćby na kliszy. Kompasem zdjęcia nie zrobię — żartował sobie chłopiec pod nosem, obracając właśnie w ręce nad mapą poziomo ustawionym pudełkiem, w którym czarny koniec igły magnetycznej nie chciał paść na literę N.

(Ciąg dalszy nastąpi).